LOKALNIE · OPINIA

OSWOIĆ DZIKI ZACHÓD. TRAUMA, PRL I WYKORZENIENIE ZIEM ZACHODNICH

Maciej Cielecki · 3 lipca 2026

Dlaczego Polacy z zachodu wciąż wybierają narrację serwowaną przez postkomunistyczny liberalizm?

Ziemie Zachodnie należą do Polski już od ponad ośmiu dekad. Mimo to ich faktyczne zakorzenienie wciąż rozbija się o rafy nieufności tamtejszej społeczności. Dlaczego Polacy z zachodu wciąż wybierają narrację serwowaną przez postkomunistyczny liberalizm? Czemu ufają tym, którzy najpierw pozostawili ich samych wobec wykorzenienia, a dziś konsekwentnie rozmywają znaczenie polskiej obecności na zachodnich rubieżach?

Cena bezpieczeństwa

Oczywiście można całą sprawę skwitować jednym zdaniem i stwierdzić, że zachodni Polacy cierpią na syndrom sztokholmski i po prostu kochają tych, którzy im szkodzą. Jak jednak wiadomo, każde tego rodzaju zjawisko jest splotem różnych traum, uwikłań, wyparć oraz zaprzeczeń. Przyjrzenie się im jest o tyle istotne, że nawet w sferze literacko-antropologicznej ośrodki demoliberalne snują już własną narrację na temat społeczeństwa tak zwanych Ziem Odzyskanych. Ma ona pewną wartość psychologiczną, ale w oczywisty sposób odrzuca kulturową polskość jako aksjomat spajający tamtejszą ludność. Na miękko i z fałszywą troską próbuje się opowiadać o tragediach przesiedlonego narodu, ale w taki sposób, by realizować postulat dekonstrukcji jego tożsamości. Jak się okazuje, nie jest to nic nowego.

Żeby zilustrować ten problem, posłużę się obrazem literackim. W swojej książce pt. *Czas kukułczych gniazd* Zbigniew Domino sugestywnie ukazuje proces pierwszej fazy zasiedlania Ziem Zachodnich. Od początku tamtejsze społeczeństwo jest podzielone różnorodnymi doświadczeniami bezgranicznego cierpienia. Wśród mieszkańców Doliny Baryczy dochodzi do swoistej licytacji krzywd. Przybysze z kresów ruskich opowiadają o piekle ludobójstwa na Podolu. Wtórują im repatrianci z Syberii, kreślący przerażającą wizję fizycznej katorgi na lodowatych bezkresach Wschodu. Jest też głos przybyszy z innych części Polski, poddanych skrajnym napięciom okupacji niemieckiej oraz sowieckiej. Wszystkie te przeżycia są bezprecedensowe, a każda ze stron jest zasklepiona w swoim bólu. Syndrom ofiary tworzy podział sprawiający, że poczucie obcości na poniemieckich ziemiach jeszcze się pogłębia.

Doświadczenia złamania i alienacji zachodnich Polaków sprawiły, że tak zwana władza ludowa łatwo mogła kreować się na siłę stabilizacyjną. Pomimo swojej opresyjności to właśnie reżim sowiecki grał kartą normalizacji stosunków społecznych. Ceną, jaką musiał za nią zapłacić naród polski, była jego fundamentalna przebudowa oraz systemowy drenaż tożsamości. Jednak wobec morderczego ucisku, jaki

znosił przez sześć lat wojny, koszty te wciąż wydawały się znośne.

Pomimo starań kardynała Wyszyńskiego i środowisk patriotycznych ten gwałt założycielski wciąż tkwi w podświadomości kolejnych pokoleń Polaków z Ziem Odzyskanych. I żadne incydenty w rodzaju wydarzeń zielonogórskich z 1960 roku czy strajku szczecińskiego dekadę później nie zmieniają obrazu tamtego społeczeństwa jako kulturowo spacyfikowanego przez komunistów. O ile Polacy z centrum kraju w dużej mierze widzieli w Sowietach przede wszystkim okupanta, czerwoną zarazę, o tyle wielu mieszkańców ziem poniemieckich dostrzegało w nich także pozytywną siłę, która, rugując Niemców, dała im mieszkania, budowała fabryki oraz przywracała pokój. Makiaweliczne rachuby Stalina nie miały większego znaczenia w obliczu przywracania przez władzę podstawowych dóbr potrzebnych do fizycznego przetrwania.

Zapewnienie społecznej równowagi przez komunistów pozwoliło im nakierować zachodnich Polaków w stronę pragmatyzmu biologicznego. Komuniści zrozumieli coś, czego często nie rozumiały rozproszone środowiska patriotyczne. Człowiek, który przed chwilą uciekł przed UPA, wrócił z Syberii albo wyszedł z niemieckiej niewoli, nie marzy o wielkości narodu. Marzy o własnym łóżku, chlebie i poczuciu bezpieczeństwa. Władza ludowa właśnie tym handlowała. Polskość jako wartość duchową zaczęto traktować z rosnącą nieufnością. Domyślnie kojarzono ją z hekatombą, wywózkami, napięciem konspiracyjnym, a przede wszystkim z mętną marą, przy której drożna kanalizacja i chleb ze smalcem na stole stanowiły pożądany konkret. Dlatego też na zachodzie Polski wysoką estymą cieszyli się politycy propagujący konsumpcjonizm, począwszy od Gierka, przez formacje w rodzaju SLD, na PO i jej „ciepłej wodzie w kranie" skończywszy.

Dobrobyt Rzeszy

> Popularna teza o sukcesie materialnym PRL na Ziemiach Zachodnich paradoksalnie stała się podglebiem dla germanofilskiej europeizacji tamtej części Polski w czasach III RP. Bezwzględne ograniczenie aspiracji narodu do stabilizacji ekonomicznej stworzyło klimat, który Niemcy mogli wykorzystać w okresie polskiego kryzysu transformacyjnego lat 90.

Oczywiście do zmiany optyki na naszych sąsiadów nie doszło od razu. W początkowym okresie PRL władza utożsamiała Niemców z hitleryzmem. Z czasem jednak zaczęto mówić też o „dobrej" części tego narodu, mieszkającej w bratniej NRD. Ten dwugłos wyrażał się tym, że z jednej strony Polacy na zachodzie oglądali antyniemiecką propagandę, seriale w rodzaju *Czterej pancerni i pies* czy *Stawka większa niż życie*, a z drugiej stosunkowo często jeździli do komunistycznego „enerdówka", by kupować zagraniczne towary. Doświadczeni traumą odarcia z biologicznej godności, poszukiwali tam przedmiotów konsumpcji, które łączyli z poczuciem bazowego bezpieczeństwa. Ten zalążek kojarzenia naszych sąsiadów z wysokim poziomem kultury materialnej dojrzał po załamaniu się komunizmu i zjednoczeniu Niemiec.

Pochodzę z Zielonej Góry, a lata pomiędzy upadkiem komunizmu a wejściem Polski do UE przypadły na moje dzieciństwo oraz okres nastoletni. Dlatego też należałem do jednej z głównych grup docelowych mających przyjąć zmianę perspektywy postrzegania Niemców. Lata 90. w Polsce były szare, a państwo

praktycznie we wszystkich obszarach przechodziło głęboki kryzys transformacyjny. Jednocześnie w telewizji oraz na podwórkach promowano niebotyczny wręcz konsumpcjonizm, mający przykryć strukturalne i duchowe problemy narodu. Upadek komunizmu wzmógł handel z Niemcami, a dostęp do ich artykułów spożywczych, chemii czy samochodów budował markę zachodnich sąsiadów. Koledzy, których rodzice pracowali w Niemczech, często cieszyli się dużo wyższym statusem materialnym. Wielu ludzi żyło z przygranicznego handlu. To prawda, że wciąż, tak jak nasi rodzice, śpiewaliśmy na placu zabaw piosenki o Hitlerze i bawiliśmy się w Czterech Pancernych. Jednak równocześnie zaczęliśmy uważać Niemcy za lepszy świat. Żyliśmy w krajobrazie biedy i brzydoty, w którym nowe adidasy czy gry na Nintendo przywożone z Berlina stanowiły coś absolutnie fantastycznego.

Obok napływu niemieckich dóbr konsumpcyjnych staliśmy się także celem niemieckiej *Kulturpolitik*. Był to czas powstawania różnych organizacji porozumienia polsko-niemieckiego oraz partnerstw między miastami, ośrodkami kultury czy placówkami oświatowymi. Powszechne stały się tak zwane wymiany międzyszkolne. Sam brałem udział w dwóch takich wydarzeniach, odbywających się we współpracy z prywatną szkołą położoną w berlińskiej, ekskluzywnej dzielnicy Charlottenburg. Dopiero po latach zrozumiałem propagandowy wymiar tych spotkań. Porównanie jakości życia tamtejszych dzieci, ich dostępu do kultury, infrastruktury czy dóbr materialnych z naszymi warunkami było miażdżące. Niemiecka szkoła wyglądała jak placówka z serialu *Beverly Hills, 90210*, a ogłada oraz schludność naszych rówieśników były wręcz onieśmielające. Po latach można powiedzieć, że w elegancki sposób zostaliśmy przedstawieni jako ich „ubodzy krewni".

Nic dziwnego, że w późniejszych latach duża część mojego pokolenia stała się tanią siłą roboczą dla Niemiec. Potrzebowaliśmy opieki, a projekcja ekonomicznej siły robiła na nas wrażenie. Tak jak wielu przedstawicieli pokolenia „boomersów" z zachodniej Polski przyjmowało materialistyczny mit gierkowskiego PRL, tak samo w przypadku Niemiec zarówno oni, jak i młodsze generacje Polaków zostali ukształtowani w przeświadczeniu, że czysta stacja benzynowa Aral z dostępnym obok McDonaldsem stanowi wyżyny europejskiego sznytu. Pokoleniowa trauma stworzyła warunki, które nasi zachodni sąsiedzi potrafili wykorzystać.

Metafizyczna pustka

Powojenne odejście Niemców z Ziem Zachodnich pozostawiło duchową próżnię, którą skrzętnie próbowała wypełnić władza komunistyczna. Zasadniczo jej jedynym liczącym się przeciwnikiem na tamtych terenach był Kościół. W czasach Gomułki społeczność polska walczyła o resztki swojej autonomii, m.in. broniąc Domu Katolickiego w Zielonej Górze, przydrożnego krzyża w Gliwicach czy obecności krucyfiksów w szkołach na Dolnym Śląsku. Mimo to proces sowietyzacji społeczeństwa przebiegał znacznie sprawniej na zachodzie niż w Polsce centralnej. Tamtejsza tkanka społeczna była sztuczna i nie posiadała odpowiedniego kapitału wewnętrznej spoistości oraz solidarności. Taką wspólnotę łatwiej było podzielić i sterroryzować.

> Jeszcze dziś wielu Polaków z zachodu jest zaskoczonych, gdy jadąc autobusem po Rzeszowie, widzi pasażerów solidarnie wykonujących znak krzyża przed każdym mijanym kościołem. W naszych rejonach jest to nie do pomyślenia. Pobożność została już dawno wyrugowana ze sfery publicznej.

Po upadku komunizmu prowadziło to do swoistego paradoksu. W przedszkolach i szkołach byliśmy uczeni religii, ponieważ to ona zastąpiła marksizm w państwowych placówkach edukacyjnych. Jan Paweł II był odmieniany przez wszystkie przypadki. Jednak kompletnie nie przekładało się to na publiczną afirmację katolicyzmu. Ksiądz rzadko kiedy był ważną figurą społeczną, a rodzice walczący o byt materialny ograniczali swoje zaangażowanie religijne do minimum. Oczywiście nie jest tak, że brakowało wierzących katolików. Było ich wielu, ale szybko zostali zepchnięci do subkulturowego getta.

Takie pozycjonowanie Kościoła sprawiło, że na zachodzie, jak grzyby po deszczu, wyrastały duchowe alternatywy zapełniające postkomunistyczną pustkę. Od Świadków Jehowy, przez protestantyzm, rodzimowierstwo czy rastafarianizm, aż po badaczy UFO i kręgów zbożowych – ten kalejdoskop sekt stanowił smutny efekt próby ucieczki od narzuconego nihilizmu. Obecna głęboka laicyzacja, a zarazem podatność społeczeństwa zachodniej Polski na tęczowe ideologie stanowią po prostu kolejny etap tego procesu. Kiedy przyjęto już narrację oprawcy w PRL, zaczęto także przyjmować jego duchowe substytuty chrześcijaństwa. Gdy przyszedł nowolewicowy demoliberalizm, doszło jedynie do przesunięcia akcentów i poszerzenia zakresu tej kulturowej podmiany.

Polskość znaczy bezpieczeństwo

W psychoterapii często mówi się, że fundamentem zdrowego rozwoju człowieka jest jego bazowe poczucie bezpieczeństwa. Prawdę tę szybko pojęły elity PRL i III RP. Wykazywały wprost zdumiewającą umiejętność hipnotyzowania pozornym komfortem przy jednoczesnym sączeniu niechęci wobec tych środowisk, które podważały legalność ich rządów. Pod spodem obrabiano naród, kryto patologie transformacji i zmieniano znaczenie kluczowych pojęć dla polskiej tożsamości. A na wierzchu dyskutowano o kulturze, uczono Polaków jeść bezę, spierano się o abstrakcyjne wartości. To wszystko oczywiście było i jest blefem, markowaniem normalności i fałszywym otuleniem. Ale, jak pokazują ostatnie wybory parlamentarne oraz prezydenckie, ten promienny uśmiech jeszcze raz zdołał oczarować zachodnią Polskę.

> Należałoby zatem zastanowić się nad przeformułowaniem sposobu komunikacji z mieszkańcami Ziem Zachodnich. Wydaje się, że domaga się on mocniejszego powiązania z zaspokojeniem ich potrzeby bezpieczeństwa oraz procesem kojenia pokoleniowej traumy. Obecna dekadencja Europy i jej zalew przez imigrantów przekładają się na dobrą koniunkturę dla tego przeakcentowania.

Potrzebna jest jednak rozwaga. Tam, gdzie podnosi się głos antyimigracyjny w sposób histeryczny i demaskujący elity liberalne, tam druga strona widzi tylko podnoszące głowę brunatne siły ciemności. Poprzednia władza przegrała wybory między innymi dlatego, że postawiła na strach jako paliwo wyborcze. Nie zrozumiała jednak, że to postkomuna ma monopol na zarządzanie lękiem, bo to ona reprezentuje w Polsce tradycję normalizującą.

Wspomniana przeze mnie duchowa pustka na Ziemiach Zachodnich domaga się wypełnienia zdrową treścią. Tu także sytuacja jest delikatna. Przez ostatnie 20 lat Kościół jako instytucja został doszczętnie zohydzony, a jego imię powiązane z najgorszymi wszeteczeństwami. Zaklęcia o odwiecznym katolicyzmie

Polaków po prostu przestały działać. Zaledwie 15 procent wrocławskich licealistów uczęszcza dziś na religię, a 11-tysięczny Milicz zorganizował już cztery parady równości. To się jednak może zmienić. Przy postępującej dekompozycji społecznej Kościół, tak jak w PRL, znowu może okazać się bezpieczną enklawą pośród chaosu. Może to brzmieć absurdalnie zważywszy na to, że na zachodzie Polski na Mszę Świętą chodzi regularnie mniej niż jedna piąta katolików. Jednak prawda jest taka, że przy napływie islamu i innych wyznań do Europy, a także wobec schyłku hegemonii materialistycznego relatywizmu promowanego przez elity, kryterium religijne znów stanie się jednym z kluczowych elementów samoidentyfikacji społecznej. Graniczący z Niemcami zachód Polski może to odczuć szybciej, niż się wydaje

Parafia z istoty ma olbrzymi potencjał organicznego łączenia ludzi. Daje możliwość budowy relacji na najbardziej podstawowym poziomie. I to z osobami, które niekoniecznie były naszym wyborem. W świecie postępującej alienacji społecznej, rozpanoszenia się antykulturowych modeli życia oraz segmentowania społeczeństwa poprzez tworzenie baniek informacyjnych rozwój życia parafialnego daje możliwość urealnienia i dowartościowania relacji społecznych.

Sądzę zatem, że to parafia powinna stanowić podstawowy punkt zborny dla Polaków w czasach walącego się liberalizmu. I nie mam tutaj na myśli twardego aktywizmu. Od tego są środowiska ideowe. Chodzi mi właśnie o budowanie bezpieczeństwa. Żyjemy w czasach rodziny nuklearnej, niemogącej liczyć na system codziennego wsparcia. To właśnie parafia powinna być punktem integracji młodych rodzin. Nie chodzi od razu o ambitne plany formacyjne wspólnot, ale o wzajemne wsparcie w wychowywaniu dzieci, dzieleniu się zasobami czy gotowości do pomocy w sprawach prozaicznych.

Na ten moment oferta społeczna Kościoła kierowana jest głównie do osób starszych i dzieci. Ludzie w wieku produkcyjnym, wychowujący potomstwo, mogą najwyżej zapisać się do wspólnot, które zamiast pomagać im poruszać się w świecie, jeszcze bardziej ich od niego odgradzają. W związku z tym to laikat musi przejąć inicjatywę i oddolnie się organizować pod auspicjami kościelnymi. Budować lokalną sieć wsparcia z wektorem na zewnątrz i przestać tkwić w dośrodkowym lęku przed światem.

> Globalne trendy, idące przede wszystkim z USA, także sprzyjają tej zmianie. Wspólnota wiary na poziomie lokalnym, kiedyś kojarzona ze zdziecinniałą socjopatią, teraz może stawać się źródłem trwałych więzi w posttinderowym krajobrazie zniszczenia. Religijność przestaje być obciachem, a zjawisko to jest wyraźnie dostrzegalne w social mediach. Te pozytywne koniunktury widać już powoli choćby w Warszawie. Pilnie potrzebuje ich także zachodnia część naszego kraju.

Nie ma jednak co się oszukiwać, zły wizerunek Kościoła na tamtych ziemiach nie zniknie z dnia na dzień. Istotne jest, żeby zoptymalizować te zasoby, które pozostały. Porządnie zreformowany model życia parafialnego może okazać się atrakcyjny także dla ludzi, którym często z Kościołem nie jest po drodze.

Narracje o silnej Polsce i jej piastowskim dziedzictwie są ważne dla wewnętrznego dyskursu jako wizja nadrzędna. Ale potrzebny jest też balansujący ją przekaz afirmujący wrażliwość i wspólnotowość. Na Ziemiach Zachodnich jest obecnie najwięcej rozwodów. Dlatego prezentacja ciepła rodziny i siły, jaką daje wspólnota, może przynieść dużo więcej dobra niż ciągłe gardłowanie o kolejnej Targowicy. Nasza reak-

tywność wobec ekscesów lewej strony stanowi paliwo dla jej dialektyki „zastraszania i głaskania po głowie". Oczywiście wyjdzie ona ze skóry, żeby nas w tę nawalankę wciągnąć. Nieuleganie tym prowokacjom może okazać się kluczowe dla odebrania demoliberałom istotnego narzędzia tresury polskich dusz.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=JSx601a_uqQ

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/oswoic-dziki-zachod-trauma-prl-i-wykorzenienie-ziem-zachodnich/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć